

Biografia Montse. Cz. 5 - Ostatnie dni

Założyciel Opus Dei, po krótkiej modlitwie za zmarłą powiedział: „Ta córka moja była aniołem i chociaż jestem pewien, że już jest w Niebie, modłę się za nią...”.

12-06-2007

Choroba stopniowo się pogłębia. Przychodzi okres bezsennych nocy, ponieważ bóle stają się coraz dotkliwsze, wręcz nie do zniesienia. Matka w tych trudnych chwilach była przy Montse, a nawet kiedy

sama nie mogła czuwać przy córce, zawsze był ktoś, kto ją zastępował. Nie było to łatwe, lecz starała się tak postępować, ponieważ rozumiała, że przyjaciółki bardzo pragną spędzać noce przy tej, którą, choć już umierająca, tak bardzo kochają.

W ostatnim czasie noga spuchła tak bardzo, że skóra zaczęła pękać i powstawały przerażające wrzody. Każde leczenie i opatrywanie sprawiały Montse niewyobrażalny ból. Zamiast użalać się i uskarżać, nuciła sobie w tych momentach jakąś piosenkę i zawsze potrafiła powiedzieć jakieś miłe słowo do osób, które przeprowadzały kuracje czy opatrywały nogę, czym niewątpliwie sprawiały ból. Jak opowiada jej matka, uczestniczyły w tym 4 osoby: „Dwie przytrzymały jej nogę, jedna smarowała maścią, a ja w tym czasie zakładałam jej bandaż. Robiliśmy to najszybciej, jak

tylko się dało. Jakkolwiek i tak trwało to dość długo.”

Ból, który znosiła bardzo mężnie, ofiarowywała zawsze za Kościół, Papieża i Założyciela Opus Dei. Współczuła wszystkim chorym, których znała i z troską pytała o ich zdrowie. Była wzorem dla wszystkich tych, którzy ją odwiedzali. Przebywając w jej otoczeniu odczuwało się pokój i pogodny nastrój. Zachwycający był widok Montse, wyczerpanej chorobą, lecz jednocześnie promieniującej młodością i radością. Znosiła niewyobrażalne bóle, jednak potrafiła ukrywać z wdziękiem swoje cierpienie, kierując rozmowę na tematy, które interesowały innych. Wiele osób zadziwiała jej pokora, wypływająca z prostoty i nie przywiązywania wagi do swoich spraw i choroby: „Każda inna dziewczyna na moim miejscu i w moim wieku robiłaby to samo.”

Nie mogła już jeść; przełknięcie czegokolwiek było dla niej prawdziwą torturą. Dla zwilżenia buzi ssała kawałek lodu.

Często mówiła o samej sobie, że jest tchórzem, ponieważ bała się, że znowu przyjdzie cierpienie. „A przecież czym innym, jak nie cierpieniem jest to, czego doświadczasz teraz?” - zapytał ją ktoś jednego razu. A ona odpowiedziała: „Ależ to jest nic!” Było to na kilka dni przed śmiercią.

Innego dnia zapytała ojca: „Tatusiu, czy jesteś szczęśliwy?” Takie samo pytanie zadawała wszystkim pozostałym, dodając szybko: „Jesteśmy najszczęśliwszą rodziną w całej Barcelonie. Kiedy umrę, nie chcę, aby ktokolwiek był smutny: niech panuje radość.”

Montse od pierwszej chwili radośnie i pogodnie przyjęła myśl o śmierci. Jednak nie należy zapominać, że nie

przestawała być młodą, pełną życia dziewczyną, która dopiero co skończyła 17 lat. Zdarzało się, że mówiła, iż smutno jej będzie zostawić ten świat. Ale zaraz potem odzyskiwała radość, wiedząc, że jej ofiara, cierpienie ma sens.

Nie oznacza to, że nie bała się śmierci. „Pewnego dnia powiedziała mi – pisze jej przyjaciółka – <Boję się śmierci, tego przejścia, tego, że będę sama.> Staralam się ją pocieszyć, przypominając scenę z Jezusem w ogrodzie Getsemani: <Ależ to wspaniałe, spotkać się z Chrystusem – Człowiekiem, który wtedy w ogrodzie też bał się, podobnie jak ja.>” Żywiła wielką nadzieję Nieba: „Czyń wszystko bezinteresownie, z czystej Miłości, jak gdyby nie było nagrody ani kary. – Ale rozbudzaj w sercu chwalebłą nadzieję Nieba.” („Droga”, 668)

Kiedy już ledwo mówiła, prosiła wiele razy: „Opowiedz mi o Niebie.” Ani przez chwilę nie wątpiła w to, że Pan zabierze ją do Nieba i mówiła o tym zupełnie naturalnie.

Przyjmowała „zlecenia”, które miała tam spełnić. Aby pomóc innym, często mówiła: „Obiecuję wam, że będę wam bardzo dużo pomagać tam z Nieba. Nie opuszczę was nigdy.”

Okazywała dużą niecierpliwość w pragnieniu pójścia do Nieba, co sama komentowała w następujący sposób: „Ależ ze mnie egoistka, Panie! Kiedy Ty chcesz, jak Ty chcesz, gdzie Ty chcesz.” Rodzice, słysząc ją mówiącą te słowa, nie mogli powstrzymać uczucia bólu. Montse zauważyła to i postanowiła, że w ramach umartwienia, nie będzie przy nich mówić o swoim pragnieniu pójścia do Nieba.

Pewnego dnia zapytała swoją matkę: „Prawda, że dużo się za mnie modlisz?” „Oczywiście!-

odpowiedziała – ale ty chciałybyś, żebym o co prosiła? Żeby Pan dopomógł ci w cierpieniu, prawda?”. Montse przytakiwała. „Nie będzie ci szkoda stąd odchodzić?” – zapytała ją wówczas, a Montse odpowiedziała radosna i ożywiona: „Nie! Nie!”

Montse z dnia na dzień stawiała się coraz słabsza. Jednak nie przestawała przyjmować przyjaciółek i koleżanek, które ją odwiedzały. Zawsze była w stosunku do nich bardzo miła i uśmiechnięta, interesowała się wszystkim i nie marnowała ani jednej okazji, aby przybliżyć je do Boga. „Zawsze wychodziłyśmy zadowolone z jej pokoju, same nie wiedząc dlaczego” – mówiła jedna z jej przyjaciółek.

Kiedy koleżanki wychodziły, Montse była bardzo zmęczona: „Widzicie, jak jestem słaba?... Nie wiem, dlaczego mówicie, że jestem silna.” Wówczas powiadami ją o kolejnych

odwiedzinach i Montse, chociaż zupełnie wykończona, zdawała sobie sprawę, że nie jest tutaj po to, by spełniać swoją wolę i mówiła: „Dobrze, niech wejdzie...”

Koniec był już bardzo bliski. W pierwszych dniach marca, w środku nocy, trzeba było niezwłocznie zawołać lekarza, ponieważ Montse miała tak słabe tętno, że niemal niewyczuwalne. Lekarz, po zbadaniu ciśnienia, tylko pokręcił z ubolewaniem głową, co wszyscy spostrzegli z wielkim żalem. Montse przerwała tę dręczącą ciszę, biorąc do ręki futerał, który doktor zostawił na łóżku i zwracając się do matki: „Mamo, czy widziałaś kiedykolwiek tak śmieszny futerał?” Słowa te przerwały napięcie tej chwili i wywołały uśmiech na wszystkich twarzach.

Stan Montse bardzo się pogorszył i rodzice stwierdzili, że nadeszła

chwila udzielenia Sakramentu
Namaszczenia Chorych. Zapytali ją,
czy chciałaby przyjąć Sakrament
właśnie teraz i Montse również
uważała, że powinna otrzymać ten
Sakrament jak najszybciej. „Co tylko
zechcecie” – odpowiedziała. Jeden z
księży Opus Dei udzielił jej
Sakramentu, a Montse uczestniczyła
w całym obrzędzie z pełną
świadomością tego, co się dzieje i z
wielką pobożnością, bez
najmniejszego cienia smutku. Od
czasu do czasu uśmiechała się do
matki, która klęczała przy łóżku.
Potem na chwilę zamyśliła się i
zapytała matkę o swoją śmierć: „I co
się wtedy stanie, mamó? Jak to
będzie?” „Myślę, że zaśniesz i
pójdiesz prosto do Nieba.” „Ale
wygodnie!” – zakończyła Montse, ale
matka zapytała zdziwiona:
„Wygodnie???” i zaczęła
przypominać te wszystkie cierpienia
– kuracje, pragnienie, brak apetytu,
bezsenna noc, niemożność poruszania

się... „Tak, to wszystko prawda..., ale to tak niewiele...tak więc nie trudno będzie umrzeć!”

Znowu zamilkła na chwilę, a potem powiedziała: „Jeśli to tak będzie wyglądało, to nie będziemy mogły się pożegnać.” Wówczas objęły się w długim, wzruszającym uścisku...

Innego dnia ojciec powiedział jej, że będzie im bardzo brakowało jej obecności, zwłaszcza w momencie, gdy Enrique będzie przyjmował święcenia kapłańskie, ale ona odpowiedziała: „Ależ tato...! Przecież ja będę wszystko widziała z Nieba! I będę się za wszystkich modliła!”

W przeddzień uroczystości Św. Józefa wydawało się, że nadszedł już koniec. Montse była przeszczęśliwa: „Jak dzisiaj wyglądam?” – zapytała przyjaciółkę, która przy niej czuwała. „No... dobrze.” – odpowiedziała. Montse chciała usłyszeć coś przeciwnego. Tymczasem

dziewczyna zapytała Montse: „A ty jak się czujesz?” „Wyobraź sobie, całkiem dobrze” – odpowiedziała Montse troszkę zasmucona. O godz. 11.00 zapytała: „Która godzina? A ja ciągle tutaj jestem?” „O godz.12.00 – opowiada jej koleżanka – powiedziałam jej: <Montse, chcesz, żebyśmy się razem pomodliły?> I odmówiliśmy we dwie Anioł Pański. Czuła się w tym momencie troszeczkę lepiej i powiedziała do mnie: „Wiesz, co sobie myślę? Że już się nie będę przejmowała. Kiedy Bóg zechce, to mnie zabierze.”

Minął dzień Św. Józefa i jej ogólny stan nieco się poprawił. Po wizycie lekarza Montse zapytała: „I co powiedział? Co się dzieje? Czy to już koniec?” „Powiedział, że w każdym momencie możesz odejść z tego świata.” – odpowiedzieli jej. „Wyobrażasz sobie? Tak niedługo będę w Niebie! W Niebie! Puśćcie mnie?” – krzyknęła radośnie

rzucając się na szyję osoby, która akurat przy niej była. Ojciec widząc, że jest tak szczęśliwa na myśl o tym, że wkrótce odejdzie do Pana, powiedział swojej córce: „Słuchaj, Montse, zapewne tylko Pan Bóg zna dzień i godzinę, ale możesz być pewna, że w Niedzielę Zmartwychwstania będziesz już razem z Nim.” „Ile to jeszcze czasu?” „Już niedługo, Montse, za 9 dni.” Uśmiechnęła się szczęśliwa i poczuła się uspokojona.

Powoli traciła siły. Źle znosiła noce, podczas których pot ją wręcz zalewał. Czuła pragnienie i dusiła się.

Tak było aż do dnia 26 marca, czyli Wielkiego Czwartku 1959 roku.

Wielki Czwartek 1959r.

Choroba Montse dobiega końca.

Na dzień przed śmiercią Montse z wielkim trudem usiłuje coś

powiedzieć, ale nikt nie potrafi jej zrozumieć. W końcu matka usłyszała słowa Montse: „Mamusiu, ileż wysiłku kosztują te małe rzeczy!” „Co nazywasz małymi rzeczami?” „Właśnie to” – powiedziała Montse, wskazując na wyschnięte usta. Nieco później poprosiła, żeby zapalić światła przy figurce Maryi, tak jakby chciała powiedzieć: „Chcę ją zobaczyć!”

Już dniało. Był piękny, słoneczny, wiosenny dzień. Przy łóżku Montse jest dyrektorka Llaru, którą prosi, by mówiła akty strzeliste, ponieważ sama nie jest w stanie wypowiedzieć ani słowa. W ów Wielki Czwartek, około 10.00, próbuje unieść się, aby spojrzeć na obraz Matki Bożej, który wisi nad jej łóżkiem i słyszeć jak mówi: „Jak bardzo Cię Kocham! Kiedy po mnie przyjdiesz?” Były to jej ostatnie słowa.

O godz. 12.00, wszyscy, którzy przy niej czuwali, odmówili Anioł Pański; ona modliła się razem z nimi w głębi serca. Było to jej ostatnie spojrzenie na Tę, którą tak bardzo kochała i której powiedziała tak wiele rzeczy w swoim życiu. Czuwający przy niej rozpoczęli modlitwę różańcową, ale zdążyli odmówić zaledwie jedną tajemnicę, gdy Montse zakończyła swoje młode życie. Była 1.20 po południu, kiedy wydała ostatnie tchnienie. „Zaczynaliśmy drugą tajemnicę – mówi jej ojciec – gdy zdaliśmy sobie sprawę, że inaczej oddycha. Leciutko się poruszyła, głęboko westchnęła ... i odeszła do Nieba.”

Umarła tak jak tego pragnęła: „W łóżku, wyciśnięta jak cytryna, aż do ostatniej kropli.” – jak często powtarzała, przypominając słowa Założyciela Opus Dei odnoszące się do ofiary i skuteczności w życiu

ludzkim poświęconym Bogu i innym ludziom.

W momencie śmierci w jej pokoju byli rodzice i kilka przyjaciółek, które, tak jak Montse, były z Opus Dei. Niedługo potem przyszedł jej brat Enrique. Ciało Montse było przykryte białym prześcieradłem, a w dłonie włożono jej drewniany krzyż, który zrobił jej brat Jorge. W nogach położono dwie świeże róże.

Ciało pozostało na łóżku przez cały Wielki Piątek, aż do pierwszych godzin Wielkiej Soboty. W tym czasie twarz Montse, na której znać było chorobę i cierpienie, przybrała pogodny wygląd.

Na wiadomość o śmierci Montse, wiele osób, będących pod wrażeniem przykładu jej życia, przybyło do domu rodziny Grases, aby pomodlić się przy zmarłej. Jej rodzice, pomimo głębokiego bólu, zachowywali pogodę ducha, której wyjaśnieniem

jest głęboko chrześcijański wymiar ich życia. „W tego typu przypadkach – opowiada proboszcz parafii Naszej Pani z Pilar – zamiast być smutnym, trzeba zaintonować Alleluja.”

Następnie wiadomość dotarła do Rzymu i. Josemaria Escriva, Założyciel Opus Dei, po krótkiej modlitwie za zmarłą powiedział: „Ta córka moja była aniołem i chociaż jestem pewien, że już jest w Niebie, modłę się za nią...” i poprosił, by wysłano telegram do rodziców Montse. Kilka dni później sam napisał do nich list:

„Najdrożsi, jestem wam bardzo wdzięczny za wasze listy i pozdrowienia od Montsity, które mi wysłaliście.

Nie mogę wyrazić mojego ubolewania, ponieważ – chociaż jest to dla nas trudne – musimy z radością uznać, że ta nasza córka jest

już w Niebie i stamtąd opiekuje się nami.

Módlcie się za mnie.

Z serca błogosławię całą waszej rodzinie.

Josemaria

Rzym, 12 kwietnia 1959r.”

Wkrótce zaczęto mówić, że Montse bardzo szybko zrozumiała i zaczęła żyć duchem Założyciela Opus Dei. Boża łaska działała w jej duszy w sposób zadziwiający i w niesamowicie szybkim tempie, co być może wynikało z faktu, że czuła, jak bardzo krótkie będzie jej życie.

Montse zrozumiała, co oznacza mieć głębokie życie wewnętrzne pośród codziennych obowiązków. Uświęciła się jako zwyczajna chrześcijanka, korzystając ze środków formacyjnych, jakie znalazła w Opus

Dei. Z podobnych środków duchowego rozwoju korzystają tysiące ludzi na całym świecie. Pomaga im to żyć po chrześcijańsku, miłując Boga i będąc solą i światłem tego świata. Swoim przykładem pokazują, że można być blisko Boga i naśladować Jezusa w najprzeróżniejszych okolicznościach codziennego życia.

Śmierć Montse – podobnie jak jej życie – przeszła spokojnie, bez rozgłosu. Było to życie hojne, wielkoduszne, które stało się jeszcze bardziej bohaterskie i pełne zaangażowania w ostatnim okresie, długim i naznaczonym cierpieniem.

Po śmierci szczątki Montse zostały złożone na Cmentarzu Południowo-wschodnim w Barcelonie, a w 1994r., za pozwoleniem Arcybiskupa Barcelony i Kongregacji do Spraw Kanonizacji, zostały przeniesione do krypty w kaplicy Colegio Mayor

Bonaigua, na ulicy Jimenez i Iglesias
1, 08034 – Barcelona, gdzie każdy
może przyjść i pomodlić się przy
grobie Montse.

pdf | dokument generowany
automatycznie z [https://opusdei.org/pl-
pl/article/biografia-montse-cz5-ostatnie-
dni/](https://opusdei.org/pl-pl/article/biografia-montse-cz5-ostatnie-dni/) (01-04-2026)